

A man is seen from behind, sitting on a sandy beach. He is shirtless and wearing dark shorts. He is looking out at the ocean where a small boat is visible in the distance. The sky is overcast. The overall mood is somber and contemplative.

WOJCIECH
NERKOWSKI

OKRUTNIE
PIĘKNY

Uroda otwiera wiele drzwi.
Również te, za którymi czai się śmierć...

LIRA
WYDAWNICTWO

OKRUTNIE
PIĘKNY

WOJCIECH
NERKOWSKI

OKRUTNIE
PIĘKNY

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2020

ISBN: 978-83-66503-81-6

Julii i Piotrowi

PROLOG

A więc tak wygląda śmierć?

Nigdy wcześniej nie byłem tak blisko niej. W filmach i serialach wielokrotnie oglądałem, jak ludzie umierają, ale w realnym świecie nie byłem świadkiem ani narodzin człowieka, ani końca jego życia. Pamiętam potworny ból i dezorientację, kiedy umarła mi babcia. Miałem wtedy czternaście lat i kiedy trumnę opuszczano do grobu na cmentarzu Bródnowskim, zacząłem spazmatycznie szlochać. Potem uczestniczyłem w kolejnych pogrzebach — dziadka, dwóch ciotek, nauczycielki z mojej szkoły, która zmarła na raka, a całkiem niedawno — swojej rówieśniczki, ale... Za każdym razem miałem wrażenie, że martwe ciało nie ma nic wspólnego z osobą, do której należało za życia. Że jest jakimś rekwizytem używanym podczas ceremonii jak choinka na Boże Narodzenie — manekinem czy figurą woskową, nawet niespecjalnie podobną do pierwowzoru.

Teraz zaś patrzę w dół, na leżące na ziemi zwłoki, które dosłownie przed chwilą, minutę temu, były jeszcze żywym człowiekiem. A konkretnie — mężczyzną, który wypadł z balkonu na ósmym piętrze hotelu Paradise Cove w miejscowości Kalutara w Sri Lance, sześć stopni na północ od równika, siedem tysięcy kilometrów od Warszawy.

Patrzę i nie mogę się nadziwić. Nic się nie dzieje tak jak na filmach. Wokół głowy denata nie pojawiła się

ciemnoczerwona plama, która rozlewałaby się z każdą sekundą. Żadna z jego kończyn nie jest wygięta pod nienaturalnym kątem.

Po prostu leży człowiek i nie żyje.

Hotelowy ogród, bujny i tropikalny, to tak naprawdę gruby dywan z trawy, przystrojony mnóstwem bajecznie kolorowych kwiatów o finezyjnych kształtach, które opadły z okolicznych drzew i krzewów — właściwie opadają nieprzerwanie, jak jakaś kwietna mżawka. Aż chciałoby się wierzyć, że ten dywan zamortyzował upadek albo że nieszczęśnik tylko położył się, by posłuchać, co w trawie piszczy.

Jest gorąco i parno, upał dosłownie wisi w powietrzu. Nieopodal wolnym, dostojnym krokiem przechadza się ponad metrowy waran — hotelowa maskotka. Co i rusz wysuwa długi, rozwidlony na końcu język. Leniwie szumią korony palm, nieco dalej o piasek plaży rozbijają się fale Oceanu Indyjskiego, a na horyzoncie roztapia się w jego wodach rudziejące słońce. Wieczór jak z pocztówki — idylla, ale czuje się, że to cisza przed burzą, przed nieuchronnym trzęsieniem ziemi.

Jeszcze nikt nie wie, co się wydarzyło, ale wieść szybko się rozniesie, to kwestia minut. Zaczną się krzyki bliskich, płacz, bieganina personelu hotelowego. Wycie karetek, stratowana przez gapiów trawa, filmiki nagrywane komórkami. Transport zwłok do kraju i — przede wszystkim — śledztwo.

Jestem dziwnie spokojny, zważywszy na okoliczności — wręcz obojętny. Na hotelowych balkonach nie ma

żywej duszy, nikt nie wszczyna alarmu. Prawie wszyscy goście biorą udział w ceremonii ślubnej, która odbywa się nieco dalej, na plaży nad brzegiem oceanu.

Znów spoglądam na ciało, które jeszcze kilka minut temu było pełnym energii trzydziestoparolatkiem z unikalną osobowością, wadami i zaletami, wspomnieniami i planami na przyszłość. Dobrze go znałem i chyba po prostu jeszcze nie dociera do mnie, co się stało — że jego już nie ma. Ani jego, ani tych wad, zalet i planów. Jest tylko osiemdziesięciokilogramowa stygnąca kukła.

Zawsze myślałem, że w takiej sytuacji doznam szoku, będę czuł większy strach, może nawet wpadnę w panikę. Tymczasem — to zaskakujące — ale przepełnia mnie ulga. Może dlatego, że wreszcie skończył się najgorszy kwartał mojego życia, pełen złych emocji, toksycznej energii, męczących obsesji. Pytanie tylko — czy będzie to finał choć trochę szczęśliwy? Czy lanckijskiej policji uda się wyjaśnić okoliczności fatalnego zdarzenia? A może dadzą się zwieść?

Barierki przeszklonych balkonów hotelowych zamocowane są dość nisko, zauważyłem to już pierwszego dnia pobytu w Sri Lance. Nawet ktoś niespecjalnie silny, choćby i drobna kobieta, byłby w stanie wypchnąć stojącego przy krawędzi wysokiego mężczyznę. A gdyby jeszcze był on pod wpływem alkoholu lub narkotyków...

Wszyscy będą podejrzani. O ile policja stwierdzi, że to było morderstwo.

Rozglądam się w poszukiwaniu niewielkiej szklanej kopolki — zapis kamery monitoringu byłby koronnym dowodem w śledztwie. Od niego zależałoby, czy winny będzie złapany, a niewinny nie zostanie fałszywie oskarżony. Pozwoliliby stwierdzić, czy mężczyzna został wypchnięty, czy popełnił samobójstwo. A może po prostu był to nieszczęśliwy wypadek?

Luksusowy hotel musi być wyposażony w monitoring. Gdzie jest ta kamera? W jednym z pokoi, w których pali się światło, zauważam rozpartego w fotelu młodego mężczyznę. Jest nagi, jedynie na głowie ma słomkowy kapelusz — aż ciśnie się na usta: *You can leave your hat on!*. Dziewczyna z długimi, ciemnymi, kręconymi włosami klęczy przed nim. Mężczyzna wygina plecy, jedną ręką przytrzymuje kapelusz, żeby nie spadł, drugą łapie partnerkę za włosy. Oboje przeżywają ekstazę, nie zdając sobie sprawy, że tuż pod ich oknami ktoś właśnie umarł. Eros i tanatos w jednym kadrze.

Nagle moją uwagę przykuwa ruch w dole, wokół ciała. Przy zwłokach pojawiła się roztrzęciona kobieta w ciemnoszarym stroju sprzątaczkii i w białym fartuszkui, który niemal świeci w zapadających ciemnościach. Za nią przyszedł krępy mężczyzna w czarnym garniturze. Oboje są drobni, większość tubylców jest niemal o głowę niższa od przeciętnego Europejczyka. Może dlatego barierki w hotelu są na takiej, a nie innej wysokości?

* *You can leave your hat on!* (ang.) – Zostaw tylko kapelusz! Fragment piosenki notorycznie kojarzonej z męskim striptizem (wszystkie przypisy pochodzą od Autora).

Pochylający się nad zwłokami mężczyzna to szef hotelowej ochrony. Ostrożnie kuca, ale zamiast sprawdzić puls, próbuje odwrócić denata. Gdy tylko widzi jego twarz, jak oparzony puszcza ramię nieszczęśnika. Tak jakby dopiero teraz zrozumiał, że ma do czynienia z trupem. Kręci głową, podniesionym głosem wymienia ze sprzątaczką uwagi w języku, którego nie znam. To pewnie syngaleski albo tamilski. Kobieta kiwa głową, mówi coś cicho, prawie szlocha.

Od strony plaży dobiega podniosła muzyka. Ceremonia ślubna zmierza ku końcowi. Chwilę później ciemniejące niebo rozbłyskuje feerią barw, rozchodzi się huk eksplozji. Rozpoczyna się trwający kilkadziesiąt sekund pokaz sztucznych ogni.

Obsługa hotelowa na pewno będzie chciała szybko zadziałać w sprawie leżącego w ogrodzie ciała, żeby nie narażać gości na nieprzyjemny widok. Trup w hotelu na pewno nie przysporzy nowych klientów, dlatego lepiej wyciszyć sprawę. Ludzie umierają każdego dnia i w każdym miejscu. W hotelach, pociągach, na pokładach samolotów i statków, ale są usuwani z pola widzenia najszybciej jak się da, bo współczesne społeczeństwa boją się śmierci. Wolą żyć ułudą, że jej nie ma.

Słońce utonęło już w oceanie; pod tą szerokością geograficzną zapada szybko. Kończy się dzień, który był ostatnim w życiu leżącego na trawie biedaka. Szef ochrony wciąż wpatruje się w twarz denata. Wydawać by się mogło, że trup żyje, oddycha, ale to tylko

złudzenie — sprzątaczką świeci latarką z komórki, jej ręka drży, światło tańczy na martwej twarzy.

— Mister Konrad... Krauze. — Szef ochrony wypowiada trzy słowa, które bez problemu rozumiem, choć w jego ustach nazwisko brzmi bardziej jak „krause”.

Następnie potok słów w nieznanym mi języku wyrzuca z siebie sprzątaczką. Mówi zaskoczonym tonem — pewnie dziwi się, że szef ochrony zna nazwisko zmarłego, w hotelu przebywa przecież co najmniej setka gości. Mężczyzna strofuje ją, po czym sięga do kieszeni denata i wyciąga portfel.

— Krauze — powtarza i pokazuje sprzątaczkę plastikowy prostokącik.

Z tej odległości nie widzę, czy to karta kredytowa z wytłoczonym nazwiskiem, czy może prawo jazdy albo dowód osobisty.

Mężczyzna wzdycha ciężko i chowa portfel z powrotem do kieszeni zmarłego. Z jego ust znów płyną szemrzące słowa, których nie rozumiem. Ale gesty, które wykonuje, są czytelne. Wyraźnie pogania kobietę, niemal brutalnie ją popycha.

Latarka w komórce gaśnie, sprzątaczką szybkim krokiem zmierza w kierunku recepcji. Szef ochrony znów kuca przy zwłokach.

Konrad Krauze. Pamiętam, kiedy pierwszy raz usłyszałem to imię i nazwisko. To było trzy miesiące temu, gdy moja dziewczyna zaprosiła mnie na ślub swojej najlepszej przyjaciółki.

TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

CZEŚĆ I

DOBÓR NATURALNY

1

Staliśmy na poboczu pustej drogi.

— Tomek! — krzyknęła Marta. — Jezu, co się dzieje?

Trochę się spałem. Pierwszy raz, od kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, moja dziewczyna podniosła na mnie głos. Na co dzień spokojna i ciepła, nie nakrzyczała na mnie nawet wtedy, gdy stłukłem stojącą u niej w przedpokoju porcelanową figurkę sowy, pamiątkę po babci.

— Proszę cię, zrób coś!

Nie był to jeszcze krzyk rozpacz, ale sytuacja z każdą sekundą robiła się coraz bardziej podbramkowa. Czas uciekał.

— Przecież robię — odpowiedziałem, starając się zachować spokój.

— Ale co? Hipnotyzujesz go, żeby ruszył?

Posłałem jej zniecierpliwione spojrzenie, ale to moje robienie rzeczywiście nie wyglądało zbyt efektownie.

W skupieniu wpatrywałem się w swojego starego wiśniowego fiata bravo, który rozkraczył się na środku drogi. Siłą rozpędu zdążyłem jeszcze zjechać na pobocze, ale silnik zgasł i nie chciał odpalić. Przekręcałem kluczyk w stacyjce, ale kompletnie nic się nie działo, nie włączały się nawet kontrolki.

No, brawo.

W myślach pocieszałem się, że może to nic poważnego. Pewnie tylko klema odczepiła się od akumulatora. Wówczas rozwiązanie problemu byłoby banalnie proste. Poradziłbym sobie bez narzędzi. I na pewno byśmy zdążyli.

— Spóźnimy się. Nie możemy się spóźnić... — denerwowała się Marta, sprawdzając coś w komórce.

— Przecież wiem — odpowiedziałem lakonicznie, bo żadna cięta riposta nie przyszła mi do głowy. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy, żeby dostać się do wajchy, która odblokowuje maskę.

— Może na wszelki wypadek wezwę ubera — powiedziała, próbując osłonić ekran telefonu przed promieniami słonecznymi.

— Osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy? Powodzenia...

Jechaliśmy na ślub, który odbywał się w miejscowości Przylesie, na południowy zachód od Warszawy, już bliżej Łodzi. Marta miała być druhną. Spóźnienie rzeczywiście nie było wskazane, bo był to ślub jej najlepszej przyjaciółki.

Natomiast mój najlepszy przyjaciel to pech. On zawsze melduje się punktualnie. Towarzyszy mi, od kiedy pamiętam. Dwa dni przed studniówką wylądowałem w szpitalu z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Nie dość, że przepadła mi impreza, którą mógłbym wspominać na starość, to jeszcze ta starość może być wyjątkowo przykra, bo według najnowszych badań ludzie z usuniętym wyrostkiem robaczkowym mają o trzydzieści procent większe szanse, by zapaść na chorobę Parkinsona. Najprawdopodobniej chodzi o pożyteczne, żyjące z nami w symbiozie bakterie przewodu pokarmowego, dla których wyrostek robaczkowy jest czymś w rodzaju przytulnego hotelu.

Tak rozmyślając, pociągnąłem znajdującą na dole, tuż przy drzwiach auta wajchę otwierającą maskę.

Inny soczysty przykład mojego pecha? Studiowałem biologię, a po obronie pracy magisterskiej planowałem zostać na uczelni, by badać ewolucję i dobór naturalny. Niestety — zabrakło mi jednego, dosłownie jednego punktu, żeby dostać się na studia doktoranckie. Można też spojrzeć na to z innej strony: córka dziekana dostała o jeden punkt za dużo. Gdybym został przyjęty, miałbym świetny materiał do badań dotyczących nietypowych sposobów, przy użyciu których geny wspierają się z pokolenia na pokolenie.

A tak — musiałem porzucić marzenia o karierze naukowej. Zostałem nauczycielem biologii w liceum w Warszawie. Publicznym, nie najlepszym, ale i nie najgorszym, plasującym się gdzieś w połowie rankingu.

Może to był nawet lepszy wybór kariery zawodowej, bo całkiem nieźle odnajduję się jako belfer.

Lubię urozmaicać lekcje, opowiadać dzieciakom ciekawostki o ewolucji i doborze naturalnym, jak na przykład tę o wyrostku robaczkowym. To naprawdę frapujący narząd. Już dawno powinien zaniknąć, bo skraca się w procesie ewolucji. Ale nic z tego! Gdy ktoś rodził się z mutacją genu, która sprawiała, że jego wyrostek robaczkowy był naprawdę krótki, to ten kikucik na ogół zapychał się i dochodziło do zapalenia. Delikwent umierał z powodu rozlanego wyrostka i eliminował się z puli genowej. Teraz już się tak nie dzieje — dzięki chirurgii. Lekarze wycinają wyrostek w stanie zapalnym i jego właściciel może dalej się rozmnażać. Chirurgia w ogóle sporo namieszała w procesie ewolucji i w doborze naturalnym. Zwłaszcza chirurgia plastyczna.

Zamiast o budowie pantofelka czy innych pierwotniaków na lekcjach biologii powinno się uczyć dzieci jak najwięcej o ewolucji i genach. Ta wiedza naprawdę przydaje się w życiu, choćby po to, żeby nie zwariować. Wiele dzieciaków, pewnie większość, ma kompleksy związane z wyglądem. Mniej lub bardziej uzasadnione. W dzisiejszych czasach otyłość jest powszechnym problemem, nawet wśród nastolatków. Prawie wszystkie dziewczyny próbują się odchudzać. Na lekcjach tłumaczę, dlaczego zrzucenie wagi jest takie trudne. To pójście pod prąd milionów lat ewolucji, która premiowała gromadzenie w ciele zapasów na ciężkie czasy.

Znienawidzony przez nas tłuszczuk ratował życie naszym przodkom. Zanim zaczęli uprawiać rośliny i hodować zwierzęta, a potem także produkować i kupować lodówki, żyli w ciągłym zagrożeniu niedoborami żywności. Przeżywał ten, kto potrafił magazynować energię w tkance tłuszczowej. I to on przekazywał swoje geny kolejnym pokoleniom. Mamy więc wbudowany w nasze ciała niezwykle wydajny, niegdyś służący przetrwaniu, mechanizm tycia.

Podobnie rzecz się ma z wiernością. Ona po prostu nie jest w interesie ewolucji, więc niektórym z nas ciężko nie ulec pokusom. Geny chcą się rozprzestrzeniać, wszystko im jedno gdzie i jak, byle się multiplikować. Jeśli przejmą nad nami kontrolę, to hulaj dusza, piekła nie ma. Choć przecież to głupie dać się sterować DNA — czemuś tak abstrakcyjnie małemu...

Moja mama lubi powtarzać, że starość się Panu Bogu nie udała, ale i tym razem „winna” jest ewolucja. Dobór naturalny działa właściwie tylko do okresu rozrodczego danego osobnika. Zasada jest prosta. Posiadacz wadliwych genów najczęściej umiera, nim zdąży się rozmnożyć, przekazując złe DNA następnemu pokoleniu. To sprytny mechanizm, tylko że nie eliminuje genów, które powodują choroby i inne przykrości w drugiej połowie życia: wszelkiego rodzaju zaćmy, miażdżyce, osteoporozy i większość nowotworów. To trochę tak jak w restauracji, w której inspekcja sanitarna badałaby jedynie zupy i przystawki. Klienci i tak ciągle truliby się drugim daniem, bo nikt już go nie kontroluje.

Ewolucja potrafi wytłumaczyć mnóstwo aspektów naszego życia, milczy jednak na temat pecha. Nie został odnaleziony odpowiedzialny za niego gen. Może więc nie ma pecha, jest tylko ludzka głupota?

Czego się spodziewałem, jadąc osiemdziesiąt kilometrów za Warszawę starym i niedoinwestowanym samochodem? Było wielce prawdopodobne, że starszek się rozkraczy. A co miałem w głowie, próbując naprawiać go w garniturze i śnieżnobiałej koszuli? W rezultacie tuż przed planowaną godziną rozpoczęcia ślubu gapiłem się bezradnie na płataninę brudnych kabli i przewodów pod maską samochodu, a także na ciemne smugi na moich dłoniach i mankietach.

Obejrzałem obie klemy, ale były mocno zaciśnięte. Czyżby padł akumulator? Niemożliwe. To się zdarza zimą przy uruchamianiu silnika, a nie w maju w trakcie jazdy. Choć w sumie mój przyjaciel pech jest zdolny do wszystkiego. Byłby w stanie zafundować mi udar ciepłny na Antarktydzie albo utopić mnie podczas wycieczki przez Saharę.

Może zepsuł się alternator, który ładuje akumulator podczas jazdy? Albo włączone radio, rozkręcona na maksa klimatyzacja i ładowarka komórki w gniazdku zapalniczki sprawiły, że pobór mocy przewyższył jej produkcję oraz marne rezerwy?

Czyli jednak nie pech, tylko moja głupota plus brak wyobraźni. Oraz lenistwo. Już dawno planowałem wymienić akumulator, bo jest stary i pewnie ma szczątkową pojemność. Skoro jednak wytrzymał zimą,

uznałem, że zajmę się tym dopiero późną jesienią przed kolejnym sezonem mrozów. Zawsze przecież mogło się zdarzyć, że w wyniku zmian klimatycznych kolejnego sezonu mrozów już nie będzie. I zostanę jak głupi z nowym akumulatorem.

— Tomek, błagam! — jęknęła Marta. — Zrób coś!

Udzieliło mi się jej zdenerwowanie, ale nie miałem pojęcia, co robić. Zdjąłem okulary i przetarłem je chusteczką wyjętą z kieszeni marynarki. Założyłem je z powrotem i zacząłem rozglądać się bezradnie, jakbym oczekiwał, że gdzieś w krzakach na poboczu drogi albo w chmurach na niebie objawi mi się rozwiązanie.

— Zostało pięć minut — westchnęła Marta. — Mogliśmy się zabrać autokarem.

— Nie panikuj. Siedem — skłamałem.

— Zrób coś!

Znów zacząłem się rozglądać, licząc na cud. Ale w moim przypadku, nawet jeśli zdarzają się cuda, są one z gatunku tych niechcianych. Jak na przykład znikająca godzina. Przysięgam, że całą podróż do Przylesia obliczyłem z zapasem, żebyśmy nie pojawili się w kościele za pięć dwunasta. Ale po drodze cały ten dodatkowy czas w cudowny sposób rozpląnął się w powietrzu.

— Coś jedzie! — powiedziałem, mrużąc oczy.

W oddali zobaczyłem ciemny samochód, który zbliżał się w naszym kierunku.

— Zatrzymasz go? — spytałem z nową energią. — Dadzą nam trochę prądu na rozruch... Albo w ogóle nas podrzucą. Weź, zamachaj rączką...

— Dobrze, że nie powiedziałaś: „Zamachaj biustem”... — zaśmiała się Marta, a ja wiedziałem, że skoro wróciło jej poczucie humoru, to znaczy, że jest dobrze i zdołała zapanować nad zdenerwowaniem.

Za to ją właśnie kochałem. Była stabilna emocjonalnie, miała dystans do siebie i do świata. Nie urządziła scen, cichych dni, a liczbę fochów utrzymywała w normie. Była serdeczną, dobrą osobą i wszystko to świetnie wróżyło nam na przyszłość.

— Dajesz, dziewczyno... I zakręć jeszcze... — urwałem, żeby nie przeszarżować.

Poczucie humoru oddziela od seksizmu cienka czerwona linia. Poza tym kto powiedział, że kierowcą nadjeżdżającego samochodu będzie mężczyzna?

Marta stanęła na poboczu, tuż przy wymalowanej na asfalcie ciągłej białej linii. Przeniosła ciężar na jedną nogę, ponętnie wyginając biodro. Lubiłem jej krągłości, choć podejrzewałem, że wpędzają ją w kompleksy. Szkoda, że żyjemy w czasach, w których Marilyn Monroe uchodziłaby za aktorkę *plus size*.

Z okazji ślubu przyjaciółki Marta zrobiła się na bóstwo. We własnoręcznie uplecionym wianku z polnych kwiatów wyglądała jak słowiańska bogini obfitości. Na co dzień nie malowała ust ani paznokci, ale dziś przykuwały uwagę odważną czerwienią. Fryzjerka upięła jej proste blond włosy, odsłaniając ładny owal twarzy i rumiane policzki. Do tego Marta włożyła dopasowaną sukienkę druhny, w różowym czy też pomarańczowym kolorze. Miałem problemy z ich odróżnieniem, a i tak

ten odcień miał pewnie jeszcze inną, specjalistyczną nazwę w stylu liliowy albo indygo.

Zostawiłem otwartą maskę i obiegłem auto, każda sekunda była cenna. W bagażniku miałem kable do rozruchu. To znaczy — chyba miałem. Nagle znów zdenerwowany, podniosłem klapę. Ostrożnie przesunąłem bukiet różyczek dla nowożeńców, zapakowany w srebrzysty papier prezent — wolnoobrotową wyciskarkę do soków, mój niewielki plecak i sporą walizkę Marty, bo w planach mieliśmy wesele i nocleg. Uff, kable były w schowku na dnie bagażnika, razem z kołem zapasowym i lewarkiem. Ależ chciałem się teraz cofnąć w czasie i podziękować samemu sobie za przezorność, która jesienią kazała mi na wszelki wypadek schować je na dnie bagażnika!

Kątem oka zauważyłem, że mija nas ciemnozielone porsche macan. Nawet nie zwolniło. Popatrzyłem na Martę, która jak gdyby nigdy nic przeglądała się w bocznym lusterku.

— Yyy... Dlaczego go nie zatrzymałaś? — zdziwiłem się.

— Przepraszam. Próbowałam... — Marta wzruszyła ramionami i nerwowo poprawiła wianek na głowie. Po jej żartobliwie uwodzicielskiej pozie nie było śladu. Stała jakaś taka skulona, odwrócona plecami do szosy.

Od razu poczułem, że coś jest nie tak, ale nie miałem głowy, żeby roztrząsać ten drobny w sumie incydent. Zegar tykał, czas uciekał. Musiałem stanąć na wysokości zadania i dowieźć nas na ten cholerny ślub,

który zaczynał się za mniej niż pięć minut. W uszach brzęczał mi już marsz weselny, natrętnie odgrywany przez mój mózg.

Musiałem coś zrobić, wykazać się, zwłaszcza że na tak wczesnym etapie związku obie strony badają się jeszcze, czy aby na pewno dobrze wybrały partnera. Trochę jak w świecie zwierząt, gdzie liczy się okazały ogon pawia, wspaniała grzywa lwa, ciosy słonia i wszelkie inne atrybuty świadczące o atrakcyjności. A ja? Jak na razie okazałem się pawiem z mało imponującym ogonem w postaci starego, psującego się auta średniej marki.

2

Nerwowo poluzowałem krawat, mój najlepszy — jedwabny, w różyczki na kremowym tle, który dostałem rok temu na Gwiazdkę od mojej poprzedniej dziewczyny. I przy okazji dorobiłem się na nim ciemnej smugi. I kolejnej na koszuli. Trudno, nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Wyciągnąłem komórkę i odpaliłem mapę. Byliśmy zaledwie pięć kilometrów od kościoła w Przylesiu, ale za to wśród pól, z dala od jakichkolwiek zabudowań. Przez chwilę rozważałem, czy nie dałoby się podłączyć do akumulatora baterii telefonu — tak bardzo byłem już zdesperowany.